ROZMAITOŚCI.

Dnia 26 lipca, Ner. 30. roku 1845.

Tajemnica starego małżeństwa.

Pod koniec przeszłorocznych zapust siedział pan Kajetan Dołęga z swoim dawnym przyjacielem, panem majorem Romualdem, w poufnéj gawędce przy kominku. Pan Kajetan był majętnym obywatelem z Podola, który zwykle na karnawał przyjeżdżał z familiją do stolicy, gdzie ładny własny dworek posiadał. Byłoto już około dwunastéj godziny w nocy. Młody Seweryn Dołęga, syn pana Kajetana, pojechał z damami na redutę, a dwaj starzy przyjaciele zasiedli tymczasem do fajek, i gwarzyli o różnych rzeczach.

Po niejakim czasie ożywiła się ich nieco senna rozmowa.

„Dziwi mię, kochany panie Kajetanie,” — ozwał się stary major — »iż się sprzeciwiasz ożenieniu twojego syna z panną Cecyliją. Jest ona z dobréj familii, majętna i dobrze wychowana. Przytém zdają się kochać oboje.”

»Ależ to nie ja, mój kochany majorze, jestem temu przeciwny — lecz moja żona.”

»Twoja żona? — I jakież ona ma w tém powody?”

»Jeszcze co! Powody! Jakgdybyś nie wiedział, iż ona nigdy w powody się nie wdaje.”

»Słuchaj, panie Kajetanie,” — rzekł stanowczo pan major — „miałem cię zawsze za rozumnego człowieka, ale masz jedną wadę — jesteś zazdrosny.”

»Ja? Bynajmniéj! Wszakżeś widział żem moję żonę na redutę wyprawił, nie napierając się wcale, być tam z nią razem.”

»Wierzę ci chętnie — bo też twoja żona ma teraz przeszło pięćdziesiąt lat. Ale przed dwudziestą laty byłeś djable zazdrosny, a ta zazdrość stała się probierczym kamieniem twojéj miłości.”

»Tak, w saméj rzeczy, kochałem mocno moję żonę.”

»Otóż ta miłość nadała pani Kajetanowéj zbyt wielkiéj władzy nad tobą, któréj ona teraz czasami nadużywa.”

»Więc masz mię za słabego człowieka.”

„Za tak słabego, iż nawet niewiesz, czemu twoja żona przeciwną jest temu związkowi.”

»Któż ci to mówił?”

„Samcś mi to powiedział; ale jeżeli wiesz powody twojéj żony, to mi je wymień.”

„Otóż masz wiedzieć, że całą przyczyną oporu mojéj żony są — pirożki kapuściane.”

Pan major przysunął krzesło bliżéj, spojrzał badawczem okiem na przyjaciela, i zdawał się rozmyślać, czy pan Kajetan przypadkiem nie miewa przystępów pomieszania. Ale fizyjonomija pana Kajetana była jak zazwyczaj spokojna i łagodna.

»Nie żartuj,” — ozwał się wreszcie major — „mówmy rozsądnie.”

»Ręczę ci, że nie żartuję. Wszak wiesz, iż lubię bardzo pirożki, których moja żona nie cierpi. Umarłaby raczéj z głodu, niżby miała wziąć do ust choć jeden taki specyjalik.”

„Wiém o tém — lecz cóż to ma do rzeczy?”

„Bardzo wiele. Musiałem koniecznie udzielić ci tych szczegółów, nim ci opowiém, co się przed dwudziestą i dwoma laty w naszym domu zdarzyło.”

„Wtedy — kiedyto jeszcze na zazdrość chorowałeś?”

„Tak jest — tego samego czasu. Moja żona miała natenczas dwadzieścia i ośm lat. Ja lubiłem towarzystwo, więc mieliśmy zawsze pełno gości u siebie. Pan Miłoszewski bywał prawie codziennie u nas.”

„Pan Cypryjan? Ojciec panny Cecylii?”

„Ten sam. Jeżeliś go znał wtenczas, tedy musisz sam przyznać, iż był bardzo przystojnym mężczyzną, którego grzeczności słusznie zazdrość obudzać mogły — a zatém — byłem zazdrosnym.”

„Nie wątpię o tém; jednakże założyłbym się, żeś się niepotrzebnie obawiał.”

„Przegrałbyś zakład, mój kochany majorze.”

„Więc mię przekonaj.”

»Nic łatwiejszego w świecie.”

Wyrzekłszy te słowa wstał pan Kajetan z krzesła, zbliżył się do ściany, komunikującéj z sąsiednim pokojem, i zapukał w pewne miejsce, które odgłos próżnéj, umieszczonéj w ścianie kryjówki wydało.

„Czy pamiętasz jeszcze ze szkół," — rzekł do majora — „historyję o pewnym Dyjonizym Syrakuzańskim, który tego sposobu używał, aby tajemnice swoich przyjaciół odkryć?"

„Tak — tak," — odpowiedział major — »podobnoś pamiętam."

»Otóż urządziłem w pierwszych czasach mego małżeństwa, małą ścienną szafę, o której nikt nie wiedział. Drzwi do szafy były bardzo starannie zakryte, a tak mogłem wszystko najwygodniéj podsłuchać, co tylko w tym pokoju mówiono."

„Co za niedelikatność, panie Kajetanie! Nie spodziewałbym się był tego po tobie."

»Masz słuszność, nie będę się wcale bronił; ależ uważ, iż miałem ładną żonę, iż byłem zazdrosnym, i że ci historyję o kapuścianych pirożkach opowiadam. Zresztą mogę ci słowem honoru ręczyć, iż od lat dziesięciu nie korzystałem z téj kryjówki, do któréj nawet kluczyk zgubiłem. Owoż tym sposobem mogłem być prawie świadkiem, jak miłość pana Miłoszewskiego stopniowo się wzmagała, i jakich on sposobów do usidłania mojéj żony używał. Codziennie stawał on się goretszym, namiętniejszym, moja żona odwoływała się najprzód do swojéj miłości ku mnie, potém do świętych obowiązków, które miała dla syna — tego samego, który się teraz z córką dawnego kochanka swojéj matki chce żenić — a pan Cypryjan prawił jéj wciąż o swoich uczuciach, o poświęceniu jéj całego swego majątku, o ucieczce z nią gdzieś aż na koniec świata! Jednego razu, gdy wszelkie dotychczasowe zaklęcia nic nie pomogły, a jego namiętność żadnych już granic nie znała, zaczął jéj czynić straszne zarzuty — groźby — a natenczas pani Kajetanowa oświadczyła mu ze łzami w oczach, omdlewającym głosem, iż nie chce wprawdzie tajemnicy swego serca mu odkryć, lecz być może, iż nie on sam jeden uskarzaćby się powinien — gdyż może i ona równie jest nieszczęśliwą. Jednem słowem dała mu do poznania, iż ja, jedyną zawadę ich uszczęśliwienia stanowię."

»Proszę!" zawołał major.

»Przynajmniéj" — mówił pan Kajetan daléj — »mógł sobie mój rywal tym sposobem tę rzecz tłumaczyć, i zaczął narzekać, iż ja nieszczęściem jego jestem, iż gdyby nie ja, życie jego doznawałoby rajskich roskoszy, i podobne inne plótł niedorzeczności, które wkońcu tak wszelką miarę przyzwoitości przebrały, iż sama pani Kajetanowa zaklinać go musiała, aby milczał, gdyż nie powinna takich wyrazów słuchać. Rozstali się z żalem, a ja wyszedłem z mojéj nieszczęsnéj kryjówki. Cóż było czynić. Moja żona kochała kogo innego — lub była bliska kochania. Nigdy jeszcze zazdrosny człowiek nie doznał tyle męczarni, ile ja doznałem natenczas. Tysiąc rozmaitych pomysłów krzyżowało mi się po głowie. Po upłynieniu trzech dni przyszedł do mnie służący i oznajmił mi, iż kucharz chce ze mną mówić.

»Kucharz?" zapytałem zdziwiony. „I czegoż on chce ode mnie?"

„Chce cię zapewne o coś prosić;" ozwała się moja żona. „Pozwól mu przyjść."

„Przeze mnie," odpowiedziałem; »nie ma tu żadnych sekretów; niechaj wnijdzie."

»Kucharz wszedł do pokoju, blady, zmieszany, z tajemniczém wejrzeniem."

»Cóż się tam stało, Macieju?" zawołała moja żona. „Czegożeś taki przerażony?"

»O pani," odrzekł Maciéj drżący z przestrachu; »o pani, gdybyś wiedziała...."

»I cóż więc, mówże!»

— Pokazało się z opowiadania kucharza, iż otrzymał był list bez podpisu, w którym załączony był banknot tysiąca złotych, wraz z przyrzeczeniem nadesłania mu drugiego podobnego banknotu, jeżeli do pirożków, które tylko dla mnie przyrządzał, przymiesza proszku, jaki mu wraz z pismem oddano. Dla zaspokojenia go wyrażono w liście, iż ten proszek o wiele pirożki smaczniejszemi uczyni. Poczciwy Maciéj wręczył mi list z banknotem i dobył także proszek z kieszeni. Obejrzałem preparat, posypałem trochę proszku na cukier i dałem to zjeść pieskowi, którego moja żona bardzo lubiła. Wkrótce po zażyciu tego proszku zaczął biedny piesek widocznie trętwieć, oczy mu pobielały, a po chwili padł nieżywy na ziemię.

»O Boże, to trucizna!" zawołała moja żona, i rzuciwszy mi się w objęcie, zalała się łzami.

„Kucharz struchlał z przestrachu i nalegał abym czémprędzéj poszedł z nim na policyję i uczynił doniesienie. Lecz ja zachowałem spokojność i pochwaliłem jego przykładną wierność. Wyznałem, iż winien mu jestem życie, i dałem mu banknot tysiąca złotych, zamiast owego, który mu przyrzeczono — a wkońcu zaleciłem mu, aby miał baczne oko na moje pirożki. — Gdyśmy się sam na sam z moją żoną zostali, zaczęła biedna płakać i okrywać mię pieszczotami.

„Kto inny byłby może rad był widzieć pierwsze spotkanie mojéj żony z jéj wielbicielem; lecz ja byłem tak pewny skutku, jakie to okropne odkkrycie na niéj sprawiło, iż nie wątpiłem bynajmniéj, że go już więcéj ani widzieć nie zechce. Jakoż w istocie, przerażona namiętnością, która pana Cypryjana do tak podłego podstępu przywiodła, kazała mu oświadczyć, iż po tém, co między nimi zaszło, nie powinien progu naszego domu przestąpić; — czém mój rywal rozgniewany, zaniechał dalszych zabiegów około mojéj żony, i wkrótce sam się ożenił."

„Nie ma co mówić," ozwał się major, gdy pan Kajetan opowiadać przestał; „jestto straszny wypa-

dek; nie dziwię się już więcej, że twoja żona sprzeciwia się związkowi swego syna z panną Cecyliją. Zastanawia mię tylko, że ty sam tego wstrętu do pana Cypryjana nie zdajesz się podzielać."

„Wstrętu do pana Cypryjana!" odrzekł stary zazdrośnik. „Toż myślisz, że on w samej rzeczy chciał mię struć?"

»Wszakże tak było."

„Gdzież znowu! Jato sam tę rzecz ułożyłem. Jamto napisał ów list do poczciwego Macieja, i posłałem mu truciznę."

„Ty sam, panie Kajetanie?"

„Nie inaczej. Mój rywal, mieniąc mię jedyną przeszkodą swojego szczęścia, nastręczył mi ten pomysł, którego zręczne wykonanie uwolniło mię od niebezpiecznego nieprzyjaciela. Straciłem wprawdzie ładnego pieska i dwa tysięcy złotych, lecz dla okupienia straconego pokoju, nie jestto jeszcze zbyt wiele."

»Ale podałeś uczciwego człowieka w okropne podejrzenie."

„A onże nie pragnął mojej hańby? Przytém nikt inny, prócz mojej żony, nie wiedział o tém, — a zazdrość nie waży tak sumiennie dobréj sławy swojego przeciwnika. Dziś, po upłynieniu lat dwudziestu, gdy innémi oczyma na świat poglądam, wstydzę się zaprawdę mego ówczesnego postępku. Ztemwszystkiem, widzisz dobrze, iż mi téj tajemnicy ani mojéj żonie powierzyć nie wypada, ani jéj sprzeciwiania się związkowi Seweryna ganić nie mogę."

„Ależ twój syn zostanie na całe życie nieszczęśliwym. Panna Cecylija nie zechce pójść za tego, którego kocha, ponieważ ty jéj ojca spotwarzyłeś."

W téj chwili otworzyły się drzwi bocznego pokoju i weszła pani Kajetanowa.

„Tyś tutaj, moja kochana?" zapytał jéj małżonek patrząc na zegar, który pierwszą godzinę pokazywał. „Myślałem, że jesteś na reducie."

„Nie," odrzekła pani Kajetanowa; »prosiłam mego syna, aby poszedł z damami, a ja sama zostałam w domu, i rozmyślałam tymczasem nad ową projektowaną partyją dla Seweryna. Zmieniłam moje dawne postanowienie i zgadzam się chętnie na związek z panną Cecyliją."

„Co słyszę! Czy być może?"

„Tak jest, w istocie. Lecz *à-propos*, oto jest jakiś mały kluczyk, który témi dniami przypadkowo znalazłam; czy może to twój, Kajetanie?"

Pan Kajetan wziął kluczyk do skrytéj szafy ściennéj i schował go ze wstydem do kieszeni.

»A co — mój przyjacielu!" ozwał się major z cicha. »Uszy Dyjonizego z Syrakuzów wydały teraz wyrok przeciw tobie samemu."

Stary zazdrośnik spuścił w dół oczy; — tajemnica jego przestała być tajemnicą.

We dwa tygodnie po téj cichéj scenie pięćdziesięcioletnich małżonków, odbył się ślub pana Seweryna Dołęgi z panną Cecyliją Miłoszewską.

Piérwszy artysta *).

Ileżto wieków w wieczność nie tonęło,
Nimeś umniku — wziąwszy w pomysł plan,
Dać światu w podziw z gnusnej bryły dzieło,
Siadł na trójnogu jak Olimpu pan.

Tęsknoś parł w niebo twoje wieszcze oko,
Długo wiódł z nieba twórczéj tajni wzór,
Długo w dno myśli puszczał myśl głęboko,
Nimeś na jawę wywiódł z tajni twór!....

Ale gdy słowo już się stało ciałem,
Gdyś myśl umniczą przeniósł w umną dłoń,
Jakaż cześć, chwała nie była twym działem,
Ołtarz ci płonął, łuną kwitła skroń!....

Gdzież twoje imię co pod nieba rosło?
Gdzie wieniec wity z promienistych łun?...
Co Jeniusz stworzy, zmienia czas w rzemiosło,
Gwiazdom na niebie, milknie ziemski dzwón.

i. n. k.

Pokrześnik.

Byłoto pewnego czwartku, pod wieczór, roku pańskiego 1649go. Mistrz Roullard, piérwszy złotnik paryzki za owych czasów, siedział sobie w tylnym zakamarku swojego bogatego sklepu i zdawał się czytać pilnie jakieś przepysznie skréślone, rozmaitémi, złotémi ozdobami i dużémi malowanémi głoskami hojnie upstrzone pismo. Poniżéj, naprzeciw okna, haftowała — nie bardzo pilnie — jego siostrzenica Joanna, ładna, ośmnastoletnia brunetka, poglądając zbyt często od krosen ku oknu na ulicę, jakgdyby kogoś z upragnieniem czekała.

Wkońcu zwinął mistrz Roullard pismo, a na jego szerokiém, rumianém licu, zajaśniał uśmiech radosnego zadowolenia.

„Wybornie!" ozwał się wreszcie półgłosem, zwracając się do siostrzenicy. »Niepodobna aby jego eminencyja, nasz miłościwy kardynał, nie przychylił się do téj prośby."

»Toż wam w istocie tak wielce na tém zależy, otrzymać tytuł złotnika nadwornego?" rzekła Joanna roztargniona, spoziérając ukradkiem na ulicę.

„Osobliwsze pytanie!" zawołał Roullard. „A nie wieszże, że mając taki tytuł, można zrobić ogromne szczęście?"

»Czyżeś już i tak nie dość bogaty, mój wuju?"

„W bogactwie nie ma nigdy zadość," odpowiedział złotnik z profesorską powagą; »a zresztą, zaniczе sobie nie liczysz zaszczytu należyć do królewskiego dworu?"

»Lękałam się tylko," rzekła Joanna niesmiało; »aby ci ten tytuł nieprzyjemności nie sprawił."

---

*) Garnczarz.

„Jakiéj?”

„Dotąd były najwierniejszymi twymi sklepowymi gośćmi osoby, które z naszym młodym monarchą trzymały.”

„No — i cóż z tego?”

„Otóż nasłuchałeś się tyle złego o kardynale-ministrze, iżeś sam o nim źle mówić przywykł.”

„Pst!” szepnął złotnik z przestrachem, odwracając oczy a wyciągając ręce, jakgdyby chciał odepchnąć ten niebezpieczny zarzut. „Nie mów o tém, Joasiu. Jeźli czasem coś niedorzecznego w tym sposobie wyrzekłem, tedy było to głupstwem z mojéj strony; miałem niesłuszność — a kiedy człowiek uznaje, iż źle zrobił, to mu nie trzeba więcéj o tém wspominać.”

„Zapewne, mój wuju — lecz nasza czeladź, nasi robotnicy, wszyscy ten sam zły zwyczaj przybrali.”

„To się muszą odzwyczaić od tego!” fuknął Roullard stanowczo. „Nie zniosę tego, abym miał przez moich własnych ludzi szkodować. Jeźlim kiedy źle o kardynale mówił, tom go jeszcze natenczas nie znał. Zresztą żył wtedy jeszcze mistrz Vatar, i nie miałem nadziei zająć jego miejsce u dworu, dopiéro od onegdaj wszystko się odmieniło, gdyż dopiéro onegdaj wieczór otrzymałem wiadomość o jego śmierci. — Ale cóż się dzieje z Julijanem? Jeszcze nie wrócił?”

„Jeszcze nie, mój wuju;” odpowiedziała Joanna, spoziérając znowu tęskno ku oknu; „nie wiém, co go tak długo wstrzymuje, i zaczynam się prawie lękać...”

Mistrz Roullard spojrzał z gniewem na siostrzenicę.

„Czy znowu? Ej do licha!” zawołał niechętnie, zmieniając cały dotychczasowy wesoły wyraz twarzy. „Bardzo ci ten Julijan Noiraud w głowie siedzi! Może jeszcze o owym planie małżeństwa rozmyślasz?”

Wszakżeto moja matka sama ten plan ułożyła;” rzekła Joanna wzruszona, drżącym głosem.

„Być może,” mruknął Roullard; „lecz ja mam inne plany. Mam z czego, dzięki Bogu, dać ci bogaty posag, i chcę abyś także jakiego majętnego męża dostała — nie zaś takiego hołysza, jak ten Noiraud, który nie ma stu talarów przy duszy.”

„Ale może jeszcze przyjść do majątku;” odważyła się Joanna odpowiedzieć.

„Tak jest — chyba się jaki cud stanie!” zaśmiał się złotnik pogardliwie. „Czyż może zawsze jeszcze na owego włoskiego awanturnika liczy, coto raz u jego matki mieszkał, i do chrztu go trzymał? Nazywał on się kapitan Julijano — nieprawdaż?”

„Przecież wiész dobrze mój wuju, iż Julijan tylko w żarcie o tém wspomina.”

„Dość tego; szczérych zamiarów niema on wcale, bądź pewna; a przeto nie mogę pozwolić, aby się z tobą żenił. I dla tego, przyznam ci się otwarcie, życzyłbym sobie mocno, iżbyś nieco oziębléjszą dla niego była. Niechciałbym odbiérać mu od razu wszelkich nadziej; lecz powinnabyś mi pomódz do wyprowadzenia go z błędu, gdyż tak jak teraz rzeczy stoją, sama to łatwo uznasz, iż o tém małżeństwie ani myśléć. Skoro otrzymam tytuł nadwornego złotnika, kto wié, czy się jaki szlachcic o twoję rękę nie zgłosi?...”

Daléj nie mógł mistrz Roullard rozwodzić swoich planów, gdyż w téj chwili odwołano go do sklepu, gdzie jacyś kupujący nadeszli.

Ci nowi goście bylito znany dzierżawca podatków Jean Dubois, który we wszystkich ówczesnych przedsiębierstwach finansowych najczynniejszy brał udział, pan Colbert i komandor de Souvré. Wszyscy trzéj należeli do stronnictwa kardynała i bywali rzadko u naszego złotnika; słysząc jednak, iż ma jakieś piękne roboty, przyszli je teraz obaczyć.

Mistrz Roullard sadził się na niesłychane grzeczności i oświadczenia. Przewrócił cały sklep od dołu do góry, aby tylko coś podług upodobania swych nowych gości znaleźć, i nie omieszkał wtrącić od czasu do czasu najgorętsze zapewnienia uległości dla kardynała i dla jego stronników.

Zacny mistrz Roullard był, jak widzimy, nie zbyt wytrwały i uporczywy w swoich zdaniach. Jego elastyczne sumienie nie czyniło mu w téj mierze najmniejszego przymusu, a przywiązanie jego do czegokolwiek, podnosiło się lub spadało, jak barometer, podług wiatru. Ztąd było całém staraniem wuja Joanny, aby wyszukać wszelkich możliwych środków, któreby mu jaką korzyść przynieść mogły, a ta gorliwość samolubstwa, przy nader miernéj biegłości w sztuce, z któréj się utrzymywał, przyprowadziła go do tego stanu dobrego bytu, jakim się teraz cieszył. U niego niezmordowana wytrwałość samolubstwa zastąpiła sowicie brak wszelkich umysłowych zdolności. Odłożył był właśnie kilka kosztownych rzeczy dla finansisty i dla pana Colberta, którym z uszanowania dla kardynała znacznie zniżoną cenę wymienił, i chciał tylkoco nowy psalm pochwalny na cześć jego eminencyi zaintonować, gdy nagle drzwi się otwarły, a młody Julijan Noiraud wszedł do sklepu. Chociaż niepokaźny na pozór, i ospą oszpecony, ujmował on przecież nadzwyczajnie miłym wyrazem dobroci, która się w jego nieładnéj prawie twarzy malowała, do czego jeszcze i patrząca mu z oczu śmiałość z bystrym dowcipem, nie mało się przyczyniały.

Nowy przybysz rzucił niecierpliwie na ladę zawiniątko które przyniósł pod pachą, i skłoniwszy się gościom — „Dobry wieczór, panie majster!” zawołał. „Zapewne byłeś w wielkim strachu o mnie, gdy wczoraj na noc do domu nie wróciłem; lecz to pan Nogent mię zatrzymał — musiałem jego serwis stołowy naprawiać.”

„Ah, byłeś więc u hrabiego?" zapytał Colbert. „Jakże się miewa?"

„Wybornie, miły panie."

„Wybornie?!" powtórzył komandor. „To mu się niezawodnie jakiś nowy złośliwy figiel powieść musiał, który kardynałowi wypłatał."

„Nie inaczej, kochany panie!" zawołał Julijan ze śmiechem. „Czytał mi właśnie satyryczną kolędę, którą na kardynała napisał."

„Co za bezczelność!" ozwał się Dubois oburzony.

»Zaręczam panów," — potwierdził Julijan — „najuszczypliwszą satyrę w dwudziestu zwrotkach. Nauczył mię nawet kilka na pamięć.... na nutę *Alleluja*... zaraz, może sobie przypomnę..."

Majster Roullard starał się nadaremnie kaszlaniem i mruganiem dać znak Julijanowi, aby milczał, lecz ten go nie rozumiał. Wygadywanie na kardynała było w domu złotnika tak powszednim zwyczajem, iż Julijanowi ani przez myśl nie przeszło, aby w tym względzie tak nagła zmiana nastąpić miała. Nie zważając więc na nic, zawołał po krótkim namyśle: „Otóż mam — przypomniałem sobie jednę zwrotkę;" i zaśpiewał:

„*Alleluja pour Mazarin!*
C'est le fils aîné de Scapin,
Dans le sac la France il mettra —
Alleluja!"

»Julijanie!" krzyknął mistrz Roullard, czerwieniąc się od złości.

„Dajcież mu pokój!" zawołał komandor, który lubo z samolubstwa publicznym stronnikiem kardynała się uznawał, przecież jako francuzki szlachcic z zadowoleniem słuchał, gdy z kardynała szydzono. „Lubię takie dowcipy, i sam chowam w domu zbiór podobnych Mazarynad."

„Zupełnie jak mój majster;" — ozwał się ze śmiechem Julijan — »kamerdyner pana de Longueville przynosi mu natychmiast wszystko, co się tylko przeciw kardynałowi pokaże."

Mistrz Roullard chciał się najświętszémi zaklęciami swojéj wierności protestować, lecz serdeczny śmiech Colberta i komandora, a głośne wykrzykniki finansisty zmieszały go tak dalece, iż śród najpompatyczniejszego ustępu swojéj przemowy stanął, nie mogąc ruszyć z miejsca. Obrócił się więc do młodzieńca i ofuknął go przeraźliwie: »Czemu do roboty nie idziesz — czyż myślisz, że tém niedorzecznêm gadaniem wypełnisz, co do ciebie należy?"

Nie wiedząc jaką zmianę jego dwudziestoczterogodzinna niebytność w umyśle majstra zdziałała, stał Julijan zagapiony i wpatrzył się z niemym podziwem w hałasującego złotnika.

»Przebaczcie panie majster," — ośmielił się wreszcie wyrzec — „sądziłem iż wam przyjemność sprawię..."

»Więc nie byłeś u margrabiego d'Avaux?" zakrzyknął go mistrz Roullard, który oczywiście powodu szukał, aby swoję złość na nim wywarł.

„I owszem, byłem u niego;" odrzekł Noiraud.

„A czemuż przynosisz nazad tę wazę?" zawołał złotnik wskazując na zawiniątko, które Julijan na ladzie złożył.

Zagadniony młodzieniec nie mógł się wstrzymać od uśmiechu. „Przynoszę wcale co innego, niż wy myślicie, panie majster; jestto nowy transport broszur, które pan hrabia Nogent przysyła."

„Broszur przeciw kardynałowi, nieprawdaż?« przejął komandor.

»Tak jest — wszystkich, jakie tylko w ostatnim miesiącu w Hollandyi wyszły."

„I one należą do zbioru majstra Roullarda."

»A jużci; myślałem, iż mu tém przyjemność zrobię."

Pan Colbert i komandor parsknęli głośnym śmiechem, a złotnik zbladł ze złości i z trwogi.

»To kłamstwo — nikczemne kłamstwo!" wyrzekł wreszcie chrypliwym głosem. »Ja nie mam żadnego podobnego zbioru, i nie wiem, zkąd mu to do głowy przyszło."

Julijan zarumienił się od gniewu i wstydu. »Jakto, kłamstwo?" zawołał nrażony. »Proszę tylko spytać się moich spółtowarzyszy."

„Czy ty będziesz milczał!" krzyknął Roullard odchodząc z gniewu od zmysłów.

„Dobrze; będę milczał;" — odparł Julijan — »lecz kłamcą nie dam się nazywać."

„Jesteś kłamcą, powiadam tobie!" wrzasnął złotnik w rozpaczy. „I, aby ci tego dowieść, wyganiam cię natychmiast z mego domu?"

„Mnie? A toż za co?"

„Precz, ruszaj mi natychmiast ze sklepu! Nie ścierpię nikogo w moim domu, coby mówił zelżywie o księdzu kardynale. Jestem najwierniejszym sługą jego eminencyi; majątek, życie oddałbym za niego... Niech żyje Mazarin!"

Roullard nie wiedział już wcale co mówi, ani co robi; otworzył drzwi na ulicę i kazał młodzieńcowi tejże chwili wynieść się z domu. Julijan, który dotąd stał w milczeniu na jednem miejscu, zaczął się tłumaczyć i wymawiać. Lecz rozgniewany majster nie słuchał żadnéj wymówki i groził, iż go wypędzić każe przemocą, jeżliby kiedy nogą w jego domu postał. Po daremnych usiłowaniach udobruchania starego napaśnika, nie stało wreszcie młodzianowi cierpliwości, i nie troszcząc się wcale wyganiem — „Mniejsza oto!" zawołał. „Pójdę sobie kiedy tak chcecie, bo widzę, żeście od wczoraj rozum stracili."

„Oto masz twoją zapłatę;" mruknął mistrz Roullard, dobywając kilka talarów ze stolika.

„Zatrzymajcie ją sobie," — odparł dumnie Noi-

raud, nasuwając kapelusz na ucho — „daruję wam to na pamiątkę.”

„Na! Bierz — i nie pokazuj się więcej u mnie.”

„Możecie długo czekać, aż mię ujrzycie!”

„Cóż, jeszcześ tutaj?”

„Zaraz — zaraz! Tylko wezmę z sobą te broszury, kiedy już niemi swego zbioru uzupełnić nie chcecie.”

Roullard zagroził mu pięścią; Julijan ścisnął ramionami, wziął z rezygnacyją zawiniątko pod pachę i wybiegł na ulicę.

Jakiś czas szedł sam nie wiedząc dokąd, rozgniewany na niesłuszność i głupotę złotnika; po chwili jednakże uspokoiło się jego oburzenie, i jakiś cichy smutek go ogarnął. Oddalenie od majstra Roullarda nie zmartwiło go wcale; był on dość zdatnym i pilnym pracownikiem, aby u któregokolwiek innego złotnika mógł najchętniejsze przyjęcie znaleźć; lecz poróżnienie się z wujem Joanny, odebrało na zawsze wszelką nadzieję zaślubienia ukochanej dziewczyny, a to nieszczęście było najsroższém ze wszystkich cierpień jego. Otóż gdy tak zmartwiony szedł wzdłuż wybrzeża Sekwany, coś go nagabało zejść na ustronie, aby tam swemu miłosnemu żalowi ulgę znalazł. W tejże chwili spojrzał przypadkiem na broszury, które wziął z sobą, i rzucił je niechętnie na stronę.

„Ten przeklęty minister!” pomyślał sobie. „Onto temu wszystkiemu winien; gdyby nie on, mistrz Roullard nie byłby się na mnie rozgniewał, ja byłbym dotąd jeszcze pierwszym czeladnikiem u niego, a Joanna byłaby moją narzeczoną!” — Te myśli powiększyły jeszcze jego nienawiść ku kardynałowi. Wtém otworzył pakiet z broszurami i przeglądał jeden pamflet po drugim. Byłyto pamiętniki, dotyczące spraw Hiszpanii, wierszyki na siostrzenicę Mazarina, pannę Mancini, wreszcie satyryczny życiopis samego kardynała. Julijan przerzucił w roztargnieniu kilka w nim kartek, i wlepiwszy nagle oczy w jednę stronicę, wydał głośny krzyk podziwienia. Na jednéj z piérwszych kartek stały następujące słowa:

„Przed wstąpieniem do stanu duchownego służył kardynał wojskowo. W roku 1625 dowodził kompaniją, i otrzymał od papiezkich jenerałów Conti i Bagni zlecenie udać się w poselstwie do margrabiego de Coeuvres Jego eminencyja przybył w tym celu do Grenoble. Bawił tam dwa miesiące pod nazwiskiem kapitan Julijano.”

Młody złotnik odczytał kilkakrotnie, w najżywszéj radości, tych kilka wierszów. Nazwisko, miejsce i czas nie dozwalały mu żadnéj wątpliwości: ów kapitan, o którym ta broszura wspomina, był ten sam, który go do chrztu trzymał. — Julijan był pochrześnikiem jego eminencyi kardynała-ministra!

Piérwszém uczuciem młodzieńca po tém ważném odkryciu, było osłupiałe zdziwienie; gdy to zniknęło, oddał się niepohamowanéj, pustéj radości. Śmiejąc się i skacząc, wykrzykiwał raz po raz na głos: »Kardynał moim chrzesnym ojcem! Moim chrzesnym ojcem jest jego eminencyja, sławny kardynał Mazarin!”

Poczém rzuciwszy wszystkie broszury w wodę, prócz téj jednéj, z któréj swoję radosną wiadomość wyczytał, puścił się cwałem ku domowi mistrza Roullard, chcąc jemu i jego siostrzenicy o tém szczęśliwém odkryciu donieść. Ale zastanowiwszy się, rozmyślił się inaczéj. Stary złotnik mógł był nie dać wiary jego powieści, mógł go powtórnie znieważyć — a na to nie powinien się był już teraz pochrześnik piérwszego ministra narażać. Przytém zdało mu się ważniejszą rzeczą uzyskać sobie piérwéj uznanie swego prawa, gdyż osiągnąwszy łaskę swego wszechwładnego chrzesnego ojca, mógł już być pewnym przyjaźni mistrza Roullard, który zawsze na stronę możnych i szczęśliwych się skłaniał. Inny więc powziąwszy zamiar, pobiegł czémprędzéj do swego mieszkania, koło pałacu sprawiedliwości, wydobył swoją metrykę, na któréj kapitan Julijano jako świadek był podpisany, i pognał, co mu nóg stało, do pałacu kardynalskiego.

(Dokończenie nastąpi.)

Wschód i zachód słońca,

CZYLI:

ŻYCIE CZŁOWIEKA.

Już błękit niebios na wschodzie bieleje,
Słabszym odbłyskiem poświeca jutrzenka,
Niknie przed okiem jak te miryjady,
Które rozsiała bo nocnym lazurze
Stwórcy wiecznego wszechmogąca ręka.
Jak cienie zatarł dzionek ich koleje,
Z objęcia nocy wyrywa się blady;
Wnet go rozjaśnią słoneczne promienie
I życie nowe rozbudzą w naturze.

Różowe wstęgi szérzą rane zorze,
Powoli nikną już i nocne cienie —
Niebo i ziemia i góry i morze
Czerpią do życia nowe, świéże tchnienie.

Lecz jeszcze wszystko śrébrzy nocna rosa,
Nito łza, ulgę naturze niosąca,
Kiedy jej łono ściśnie upał słońca,
A w nie nie wleją balsamu niebiosa.
Z niéj ptaszki leśne już piórka otrzęśli,
Budzi ich ze snu wesołe świtanie,
Skoczkiem w gałązkach witają zaranie,
I nucą stwórcy hymn pochwalnej gęśli.

Złote promienie w górę wystrzeliły,
Znać dają ziemi ci płomienni gońce,
I wszelkim stworom by się weseliły,
Bo głowę wznosi już wspaniałe słońce.
Cała natura, co była w uspieniu,
Pokryta czarną oponą nocy,
W objęciach słońca, w żywotnym promieniu,
Nabiéra życia, nabiéra mocy.

Gdy jasną kulę zobaczysz w zenicie,
Wtedy ci świéci w blasku swego szczycie,
I znów się schyla ku swemu zgonowi,
I coraz słabiej rozrzuca promienie;
Nad grobem stanie już ku zachodowi,
Jeszcze usłyszy dziękczynienia pienie.
Już złotą głowę za górami kryje,
Lecz jeszcze rzuca ostatnie wejrzenie
Na ziemię ciemną, w któréj życie nieci.
Nim jasne kosy w wodach morskich zmyje
Jeszcze przy zgonie niemi raz zaświeci,
Jeszcze rozpędzi nadchodzące cienie,
Jeszcze ich odbłysk zajaśniał w obłokach,
Na gór wierzchołkach, na morskich opokach.
Powoli nikną; tylko zorzy pręgi
Sypią iskrami w różnobarwne wstęgi,
Czerwienią niebo, jakby się krew lała,
Jak gdyby cała natura konała.

Tak nim z natury wyrwie się objęcia
Istota nędzna, którą zwią człowiekiem,
Łzy oczy roszą; pierwszy głos dziecięcia
Jak promień ziemi, matce szczęścia wiekiem.
Radość go wita — to wschód jego życia,
A ranek w życiu, gdy wyjdzie z powicia.

W południe słońce działa w pełnej sile
To wiek nasz męzki, to życia połowa.
A gdy przeminie — idziem ku mogile!
Starość — to zachód, i srébrzysta głowa
W proch się rozsypie pod ciemną mogiłą.
Znów będziesz w świecie, czem byłeś przed życiem.
I będzie w końcu jak w początku było:
Noc cię pochłonie, i zostaniesz — niczém.
Lecz ty nie zginiesz człowieku śmiertelny,
W ziemi zostaniesz, jesteś nieśmiertelny.

Jeźliś się w życiu zasłużył ludzkości,
Gdyś dawał życie, gdyś drugich oświecał,
I promień światła jak słońce rozniecał:
To pamięć twoja jeszcze w potomności
Zabłyśnie błogo w tym czasu przechodzie —
Jak zorza jasna po słońca zachodzie.

Chocimierz. A. W.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 29ty i zawiera: 1) Czy korzystniej woły czy konie trzymać do rolnych robót? 2) Wiadomość o kongresie rolniczym francuzkim. (Wyciąg z listu pisanego z Paryża, dnia 4go czerwca, 1845go roku.) 3) Jak w Hohenhejmie hodują cielęta? 4) O polepszeniu drzew owocowych przez wczesne oczkowanie. 5) Przepis do szybkiego wędzenia mięsa. 6) Sposób robienia soku malinowego bez cukru, dającego się kilka lat przechowywać. 7) Ziemniaki w sierpniu posadzone. 8) Sposób oczyszczenia łoju i odjęcia mu nieprzyjemnego zapachu. 9) Sprawozdanie o naszym jarmarku na wełnę. 10) Wiadomości handlowe.

Zdania różnych narodów o życiu duszy po śmierci. Dzicy mieszkańcy okolic zatoki Hudsońskiéj mniemają widzieć duchy swoich zmarłych przyjaciół w zjawiskach napowietrznych. — Murzyni i Chińczykowie wierzą w dalsze życie duszy w tém samem ciele, ztąd nie lekają się niczego bardziéj, jak być pokaléczonymi po śmierci, gdyż w takim razie musieliby kalekami w nowe życie wstępować. — Podług Zoroastra było spalenie ciała kolebką zmartwychwstania duszy, zkąd wynikło podanie o Feniksie, który odrodzony z popiołów wzlata. — Grekom, mianowicie Homerowi, a późniéj téż i Rzymianom, wydawała się pośmiertna dusza cieniem ciała, to jest czystą formą, wyzwoloną od materyi, w jaką za życia się oblekała. Podobnież i Kaledończykowie i Ossyjan wyobrażali ją sobie jako eteryczną, mglistą postać o dawnym zarysie kształtów cielesnych. Podług Syjamczyków składa się dusza z równorodnych cząstek jak i ciało, tylko iż te cząstki tak są delikatne i wątłe, że dla oka cielesnémi wydać się już nie mogą. U Grenlandczyków bywa dusza po śmierci blada, miękka, bez mięsa i kości, gdy tymczasem za życia była z ciałem zrośniętą i mogła przeto również z ciałem być pokaleczoną lub rozerwaną. Tożsamo i Karaibowie jakotéż inne amerykańskie plemiona wystawiają sobie duszę jako cień ciała. — Konfucyjusz utrzymuje iż są dwie dusze, jedna ziemska, śmiertelna *(Pe)*; druga myśląca, nieśmiertelna, która po zgonie ciała znowu do nieba wraca. — Podług budaickiéj religii Tybetanów jest zła i dobra dusza, a u północnych Amerykanów ożywcza i duchowa, któraто ostatnia, stosownie do zdania Kanadyjczyków, w czasie snu z ciała uchodzi. — I nasi téż mistycy przypuszczają dwie dusze, a czasem trzecią, pośrednią, jaką podług systemu Kabalistów, jest tak zwana żywotna dusza — Nefesz — która w trupie aż do jego zepsucia pozostaje; druga — Ruah — udaje się najprzód do niższego raju; trzecia wreszcie, myśląca — Meshamah — wraca bezpośrednio na łono bóstwa, dokąd także i owe dwie poprzednie nakoniec przybywają. — W ten sposób można wyrzec z Herderem: Nieśmiertelność jest ziarnem przewidywania, które w sercu każdego człowieka spoczywa, a które fantazyja, albo wyobrażenia moralne, albo najwnętrzniejszy umysł człowieka w przeróżne postacie wypiastywują.

Festyny w Konstantynopolu. Od dnia 8go do 12go czerwca przedstawiały Konstantynopol i przeciwległe Scutari, obraz nadzwyczajnego ruchu. Powodem do tego było zaślubienie 16letniej siostry sułtana, Adili, z pewnym młodym paszą, a rozmaite festyny, które dwór z téj przyczyny na dolinie Haidar-pasza (po azyjatyckiéj stronie) wyprawił, przechodzą swoją wystawnością wszelkie wyobrażenia i opisy. Wyprawę narzeczonéj wiozło 85 szalup; z których nie mniej jak 30 samą najcieńszą bielizną księżniczki naładowane były. Najpiękniejsze sprzęty galanteryjne i przybory toaletowe, zakupione po większej części w Paryżu, Londynie i Wiedniu, zostały w Konstantynopolu osobno przez nadwornego jubilera drogiémi kamieniami powysadzane, tak iż cała wyprawa młodéj księżniczki 5 milijonów piastrów kosztuje. Stół na 100 osób, zastawiony na dolinie Haidar-pasza dla dyplomatów, dźwigał przeszło 150 cetnarów sreber stołowych, a zamiast zwyczajnego obrusu był cały stół żółtym okryty atłasem, który złote, perłami przetykane frędzle, wokoło otaczały. Sam namiot, pod którym uczta się odprawiała, kosztował 2 milijony piastrów. Przy weselnym pochodzie, składającym się z 90ciu szalup, na którego czele sułtanka Valide, matka teraźniejszego sułtana Abdul-Medżida, swoją ukochaną córkę do jéj nowego pałacu na europejskiém wybrzeżu, Defterdar-Burun, odprowadzała, znajdo-

wały się obie księżniczki pod bogatym baldachinem, a szalupa, która je wiozła, lśniła się w całém znaczeniu tego słowa, od złota i dyjamentów. Dnia 13go odbył się u nowozaślubionéj księżniczki wielki dramatyczny koncert, na którym wszyscy magnaci państwa, a nawet sam sułtan obecni byli. W tym celu zbudowano umyślnie teatr w ogrodzie haremu, i zlecono jego pomalowanie i przyozdobienie panu Fornari. Wszyscy artyści teatru w Pera przykładali się do tego koncertu. Z pomiędzy sztuk odegranych odznaczał się hymn na cześć sułtana, skomponowany przez nadwornego kapelmistrza ottomańskiego, p. Donizetti. Wszyscy artyści wystąpili w odpowiednich kostiumach. Pomimo iż przedstawienie dość długo trwało, był sułtan, jako miłośnik i znawca muzyki aż do końca, i wyszedł dopiéro koło północy. Uważano kilkakrotnie, iż z największém zajęciem całemu przedstawieniu się przypatrywał, i często żywe zadowolenie okazywał. Damy siedziały w lożach, opatrzonych kratami. Zapewniają iż sułtan tak wielce tém przedstawieniem był zachwyconym, że na dzień 20go czerwca powtórzenia tego samego koncertu zażądał.

Marszałek Bugeaud. Tomasz Robert Bugeaud de la Piconneric urodził się 15go października r. 1784go w Limoges. Ojciec jego był obywatelem w Perigord, matka jego pochodziła z jednéj z najznaczniejszych rodzin Irlandyi. W czasie rewolucyi doznała familija Bugeaud mnogich prześladowań; dwaj krewni musieli uchodzić z kraju, reszta była w Limoges więziona. Ledwie z lat dziecinnych wyrosłszy, wstąpił młody Bugeaud jako szeregowiec do jednego z pułków piechoty i odbył w tym stopniu swoją piérwszą kampaniję na wybrzeżach kanału La-Manche. Dopiero po bitwie pod Austerlitz postąpił na kaprala; lecz od tego czasu awansował dość prędko, gdyż już w następnym roku był oficerem. Ten szybki postęp zawdzięczał młody Bugeaud nie tylko swojéj osobistéj odwadze, ale też gorliwości, z jaką wojennym umiejętnościom się oddawał. Odbył kampanije w Niemczech, w Polsce i Hiszpanii, i otrzymał kilka ran ciężkich. Zalety młodego porucznika zwróciły nań wkrótce uwagę naczelników, a nawet samego Napoleona. Marszałek Suchet wspomina go często w swoich memoarach jako walecznego oficera i zdolnego dowódzcę. Był już bowiem Bugeaud natenczas komandantem batalijonu. Odznaczył się szczególnie przy oblężeniu miast Sagonte, Terragone i Valencia, jakoteż w potyczce pod Yecla, i wyrządził nieraz swojemi śmiałémi i zręcznémi podjazdami znaczną szkodę nieprzyjaciołom. Z tego powodu polecano mu często najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze wycieczki. W roku 1813ym został podpułkownikiem i dowódzcą 14go pułku piechoty, a wkrótce pułkownikiem. W tym stopniu zostawał przez piérwszy rok restauracyi; gdy mu zaś Napoleon po swoim powrocie w roku 1815ym stopień *Maréchal-de-camp* chciał nadać, podziękował Bugeaud za ten zaszczyt, ponieważ nie miał jeszcze sposobności zasłużyć sobie na niego. Po zupełnem rozpuszczeniu wielkiéj armii, powrócił pułkownik Bugeaud, mając dopiero 31 lat, do życia prywatnego, wstąpił jednak później nanowo w służbę wojenną. Wskutek wiadomych wypadków lat ostatnich, został marszałkiem, gubernatorem Algeryi, a wkońcu księciem d'Isly.

Maszyna do robienia wiérszów. Niejaki John Clark w Laddington w Anglii, wynalazł na prawdę maszynę, sporządzającą łacińskie hexametry. Podług opisu naocznych świadków, jest ta maszyna, nad którą wynalazca przez 13 lat dla rozrywki pracował, nadzwyczajnie pojedynczo zbudowana. Wszelkie reguły wersyfikacyi, kadencyje, rytm, słowem wszystkie trudności, które wierszopisów kłopotu nabawiają, są tu z zadziwiającą łatwością rozwiązywane. Ma być nawet daleko łatwiéj urządzić podobną maszynę wiérszującą, niżli maszynę do układania prozy. Zadanie tego rodzaju ma niejakie podobieństwo z wiadomem przyrządzeniem, za pomocą którego, mechanicznym sposobem mnóstwo geometrycznych figur ułożonych być może. Maszyna pana Clark zdaje się na tych samych zasadach, co i kaleidoskop pana Brewster być sporządzoną. Jedna minuta jest dostateczną do ułożenia wierszu. Następujące wiérsze wyszły, podług zaręczenia angielskiego sprawozdawcy, z téj wiérszowéj maszyny. Każdy z nich ma odrębne znaczenie.

1) *Horrida sponsa reis promittunt tempora densa.*

2) *Bellica vota modis promulgant crimina fusca* — i t. d.

Już sam jednostajny układ tych wierszy objawia mechanizm ich kompozycyi. Jest tu wszędzie tażsama gramatykalna forma, ta sama cezura, toż samo odmienianie się dwu- i trzechgłoskowych wyrazów. Maszyna ta podobną jest kształtem i objętością do zwyczajnéj skrzyneczki z materyjałami do pisania. Wszystkie gotowe wiérsze wychodzą bocznym otworem. Cały mechanizm jest tak urządzony, iż nigdy tensam wiersz dwa razy się nie powtórzy, lecz największa rozmaitość się zachowuje. Każdy wiérsz tworzy się w téjsamej chwili, kiedy za pomocą kaleidoskopu maszyny odpowiednia geometryczna figura się układa; każdy wiérsz ma tym sposobem odpowiadającą sobie figurę, a każda figura swój wiérsz.

Osobliwsza zmyślność mrówek. Wiadomo jest iż mrówki znaczną ilość zboża na zimę do swoich podziemnych kryjówek znoszą. Jakże się więc to dzieje, że zboże w wilgotnéj ziemi kiełków nie puszcza, a przynajmniej nie porasta? Te zmyślne owadki, które podobnie jak pszczoły, nadzwyczajne zamiłowanie porządku, a nawet zmysł dla symetryi posiadają, umią temu w osobliwszy sposob zaradzić. Oto odgryzują kiełek u każdego ziarnka, które do swoich spichrzów znoszą; przeco ziarnko już dalej rozwijać się nie może. Zkądże one to wiedzą, i kto ich tego nauczył?

Inwalid i rzezimieszek. Ostatniemi czasy ukarano w Neapolu pewnego starego inwalida za przestępstwo osobliwszego rodzaju. Znajdował on się w kościele na nabożeństwie, gdy wtém uczuł cudzą rękę w kieszeni. Nie zmieniając postawy, chwyta stary wojak złodzieja taką siłą za rękę, że mu ledwie kości nie złomał. — »Ach, zlituj się, miły panie;« zaczął błagać złodziéj, »już nigdy tego więcéj nie zrobię.« — »I cóżeś tam znalazł w kieszeni?« mruknął inwalid. — »Nic, panie.« — To włóż tam co, bo ci rękę zgruchocę.« — »Nie mam, panie, ani szeląga.« — »Włóż co, albo ci rękę złomię!!« — Łotr widząc że to nie żarty, włożył inwalidowi do kieszeni kilka śrebrniaków, perspektywę i chustkę fularową; a odzyskawszy drogo okupioną wolność, chciał się oddalić, lecz schwytany od czatujących ajentów policyi, zaprowadzonym został wraz z inwalidem przed sędziego. Inwalida skazano na 3dniowy areszt, złodzieja zaś na 2letnie więzienie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.